

DLACZEGO FRANCJA ZWLEKA

TRZYDZIESTEGO marca z polecenia rządu w Bonn ambasador niemiecki w Paryżu Klarber udał się na audiencję do de Gaulle'a, później zaś odbył dłuższą rozmowę z francuskim ministrem spraw zagranicznych Couve de Murville. Celem tych wizyt było wyjaśnienie stanowiska Francji w kwestii projektowanej konferencji ministrów państw Wspólnego Rynku w sprawie politycznego zjednoczenia Europy.

Interwencja ambasadora niemieckiego była bezpośrednim następstwem odrzucenia przez Couve de Murville, podczas jego pobytu w Rzymie, projektu zwołania tej konferencji na dzień 10 maja br. Couve de Murville uzasadniał swoje stanowisko szeregiem względów formalnych, zrozumiano jednak, że za nimi kryją się przyczyny ważniejsze, tkwiące w rozbieżnościach pomiędzy Francją a jej partnerami zarówno w sprawach stopnia i formy zjednoczenia, jak i w kwestiach polityki zagranicznej oraz problemów bezpieczeństwa i obrony przyszłej zjednoczonej Europy.

Francja nie chce federacji, rozumie bowiem, że taka forma zjednoczenia w dalszych następstwach doprowadzić by musiała do przewagi Niemiec w Europie i obstać przy luźniejszych formach łączności państw szóstki, opowiadając się za związkiem raczej konfederacyjnym.

W sprawie wspólnej obrony stanowisko Francji, wyrażone niedługo przed de Gaulle'a, jest powszechnie znane. Pragnie ona oprzeć bezpieczeństwo europejskie na własnym niezależnym od Stanów Zjednoczonych systemie, co zresztą nie wyklucza wcale przynależności do Ameryki, wymaga natomiast jego przebudowy i oparcia na podstawach gwarantujących równorzędność kontrahentów.

Wynika to z ogólnej koncepcji „Europy europejskiej”, Europy trzeciej siły, dźwigni do stanowiska mocarstwa światowego. To trudne i skomplikowane zagadnienie łączy polityka francuska z szerszym problemem wzajemnego bezpieczeństwa i ograniczenia zbrojeń na kontynencie europejskim.

Z tego założenia wyłania się polityka europejska, próba takiego ułożenia stosunków geo-politycznych, przy których zarówno wzajemne bezpieczeństwo jak i ograniczenie zbrojeń mogłyby nabierać realnego znaczenia. Wymaga to zmiany układu światowego powstałego w Teheranie i Jafcie, który w wyniku zachodzących przeobrażeń coraz bardziej traci swoje uzasadnienie w Europie i domaga się gruntownej geo-politycznej rewizji.

Siłą rzeczy na czoło wysuwa się zagadnienie niemieckie oraz sprawa przyszłości powojennego imperium sowieckiego w Europie środkowej i wschodniej. Bez rozwiązania tych spraw wzajemne bezpieczeństwo i przyszły rozwój stosunków pokojowych nie da się pomyśleć. One bowiem są powodem chwilejności położenia w Europie i źródłem stałego zagrożenia, które z „koegzystencji” czyni fikcję, chwilową „pieredyszkę” i nie kładzie kresu chronicznemu napięciu stosunków.

Oba te zagadnienia domagają się rozwiązania zarówno z nakazu uznanego powszechnie praw do

wolności narodów jak i z punktu widzenia wymogów równowagi i bezpieczeństwa wspólnoty europejskiej. Oba one stanowią będącą ważką treść polityki zagranicznej zjednoczonej Europy.

Otóż w tym punkcie — jeśli chodzi o Zachód — jest wiele jeszcze zasadniczych spraw do wyrównania.

Jest rzeczą konieczną — jak to podniósł w swoim styczniowym oświadczeniu amerykański sekretarz stanu Rusk — aby państwa zachodnie przed podjęciem jakiegokolwiek inicjatywy uzgodniły swe poglądy na zagadnienie bezpieczeństwa europejskiego i na sprawę granic niemieckich. Pozostawienie tej sprawy w zawieszeniu do konferencji pokojowej, jak to z wyjątkiem Francji czyniły pań-

stwa zachodnie, równa się niepowodzeniu wszelkiej inicjatywy nowego ułożenia stosunków w Europie.

Jakże bowiem ta sprawa przedstawia się w rzeczywistości? Niemiecka Republika Federalna, która stanowi dziś już przodujące pań-

stwo w Europie i tworzyć będzie wraz z Francją trzon przyszłego zjednoczenia europejskiego, formułuje swoją politykę zagraniczną w sposób aż nadto wyraźny. Zasada powrotu do granicy z 1937 roku, równająca się obaleniu układu poczdamskiego, przekreśle-

niu następstw prawnych bezwarunkowej kapitulacji i przywróceniu *de jure* zwierzchności niemieckiej na ziemiach nadodrzańskich, jest wyraźnym dążeniem do przekreślenia powojennego stanu polityczno-prawnego i powrotu do stanu przedwojennego. Nie jest to — jak chcą niektórzy — punkt wyjścia do przetargu, ale powtórzenie metod polityki niemieckiej po traktacie wersalskim, polegających na wymuszeniu przekreślenia następstw przegranej wojny.

Rewizjonizm niemiecki nie jest wyłącznie domeną demagogii związków ziolkowskich, jest stanowiskiem oficjalnej polityki niemieckiej. Wyznaje go rząd i wszystkie bez wyjątku partie. Służy mu aparat państwowy, dyplomacja i propaganda, znajduje on swój wyraz w urzędowych wypowiedziach i deklaracjach.

W miarę wzrostu siły i znaczenia Republiki Federalnej umacnia się polityka rewizjonistyczna, której towarzyszą zbrojenia i dążenie do uzyskania broni nuklearnej.

Jeśli Europa ma być zjednoczona i jeśli ma w niej zapanować prawdziwie pokojowe współzycie, państwa zachodnie muszą położyć kres tego rodzaju polityce. Jest ona bowiem niebezpieczna zarówno dla wschodnich sąsiadów Niemiec, jak i dla obecnych ich sprzymierzeńców zachodnich i źle służy sprawie przebudowy układu europejskiego.

Przebudowa ta zależna jest w dużym stopniu od ewolucji polityki sowieckiej na obszarach Europy środkowej i wschodniej. Przemiany zachodzące w świecie, położenie Sowietów w Azji, konflikt chiński i konieczność szukania kompromisu ze Stanami Zjednoczonymi wobec groźby wojny atomowej czynią taką ewolucję w zasadzie możliwą. Na jej zasięg i przebieg niewątpliwie wpływać będzie tętnienie jednoci europejskiej, wzrost siły zachodnich i atrakcyjność tych przemian dla narodów zniewolonych. Pod jednym jednak warunkiem, że w poprzek tych procesów nie staną Niemcy ze swoimi dążeniami rewizjonistycznymi.

Upiór granicy z 1937 roku jest zbyt żywą przestrogą dla wszystkich narodów, które doznały skutków politycznych tej granicy, by zamrozić i opóźnić ich naturalne dążenia do emancypacji spod gwarancji sowieckich i szukania rozwiązań w oparciu o zjednoczoną Europę. Stanowcze położenie kresu roszczeniom niemieckim jest przeto nieodzownym warunkiem powodzenia wielkiego dzieła przebudowy europejskiej.

Prezydent de Gaulle dał już kilkakrotnie wyraz temu, że docenia konieczność zmiany postawy polityki niemieckiej. Jeśli przeto Francja nie śpieszy się ze zjednoczeniem Europy i gra na zwłokę wobec propozycji konferencji zjednoczeniowej, to jednym z powodów tego jest niezawodnie polityka rewizjonistyczna Republiki Federalnej i upór, z jakim rząd w Bonn obstać przy zasadzie granicy z 1937 roku.

Zwłoka Francji z pewnością nie wynika z niechęci do jednoci europejskiej, ale spowodowana jest koniecznością wyrównania rozbieżności między nią a jej partnerami w sprawach zasadniczych, dotyczących polityki zagranicznej i problemów obrony zjednoczonej Europy.

Z okazji świąt
ZMARTWYCHWSTANIA PAŃSKIEGO
wszystkim Czytelnikom i Przyjaciółom Pisma
składa najserdeczniejsze życzenia
DOBRYCH I RADOSNYCH ŚWIĄT

Wydawnictwo „Myśli Polskiej”

CO SŁYCHAĆ...

W WARSZAWIE

Wyznaczone na dzień 30 maja br. wybory do reżimowego Sejmu będą połączone tym razem z wyborami do tzw. Rad Narodowych. Jedne i drugie nie przyniosą żadnych niespodzianek, albowiem tak jak wszystkie poprzednie wybory będą wyreżyserowane do najdrobniejszych szczegółów. W ustroju komunistycznym nie ma i nie może być wolnych ani uczciwych wyborów. O tym wie każde społeczeństwo, żyjące pod systemem komunistycznym, natomiast zdają się niekiedy zapominać naiwni komentatorzy na zachodzie, którzy pilnie wypatrują znamion postępu w rzekomej ewolucji komunizmu i dlatego każdy szczegół komunistycznej ordynacji wyborczej podają subtelnej analizie, aby móc powiedzieć swoim czytelnikom, że jednak komunizm się demokratyzuje, że jednak liberalne tendencje drażnią partię komunistyczną za Żelazną Kurlinę. Co prawda — w ostatnim okresie tym właśnie kołom na Zachodzie wielką niespodziankę sprawiły komunistyczne wybory w Rumunii, gdzie przed paru tygodniami na jedyną listę kandydatów padło aż 99.60 procent głosów. Komuniści rumuńscy cieszą się specjalną sympatią w prasie zachodniej, ale oczywiście nikt nie dałby wiary tak wspaniałemu rezultatowi wyborczemu. Toteż cyfrowe wyniki wyborów rumuńskich zostały po największej części pominięte w pismach zachodnich.

Wybory w Polsce będą identyczne w swych rezultatach z wyborami rumuńskimi. Wprawdzie komuniści polscy nie zrobią tak rażącego błędu, by ogłosić dumnie aż tak wysoki procent frekwencji. Będą też tłumaczyć korespondentem zagranicznym, że przecież wyborca może wybierać kandydatów, którzy się jemu podobają, bo przecież kandydatów na kartce wyborczej jest więcej aniżeli posłów, przypadających na dany okręg. Wyborca więc będzie mógł niektóre nazwiska skreślać. Są to oczywiście ordynarne kruczki, albowiem wszyscy kandydaci na liście muszą mieć uprzednią zgodę partii komunistycznej — obojętne czy są członkami partii, czy też należą do licencjonowanych stronnictw w ramach tzw. Frontu Jedności Narodowej.

Mógłby ktoś powiedzieć, że jednak jakiś „porządny” człowiek może przecisnąć się przez ucho igielne komunistycznej ordynacji wyborczej. Jest to po prostu niemożliwe. Na to przecież istnieje olbrzymi aparat partyjny w centrali warszawskiej, w miastach wojewódzkich i powiatowych aż do najmniejszych gmin, by wszystko zagrało jak należy. Cała ta armia dobrze płatnych funkcjonariuszy, niezdatnych na ogół do żadnej uczciwej

produktywnej pracy, ruszy z gotowymi instrukcjami i wyświechtanymi sloganami na biedne społeczeństwo polskie, aby je sterroryzować i zmusić do udziału w wyborach. W tym są wytresowani, przeszli najrozmaitsze kursy teorii i praktyki komunistycznej — i choć na codzień starają się stosować nabytą wiedzę z umiarem, na okres wyborów zdejmą rękawiczki i uruchomią cały arsenał nacisków, aby ludzi do urn zapędzić. Bojkot bowiem wyborów przez społeczeństwo byłby największą klęską reżimu.

W MOSKWIE

Grono ekspertów zachodnich studiujących gospodarkę sowiecką, opublikowało cyfry wykazujące, ile dóbr użytku powszechnego przypada na głowę mieszkańca w Związku Sowieckim. Cyfry te w wielu wypadkach są zaskakujące, najbardziej chyba jednak w dziedzinie samochodów osobowych. Okazuje się, że na tysiąc mieszkańców Związku przypadają za ledwie trzy samochody. Odpowiednia cyfra dla Stanów Zjednoczonych wynosi 344, a w sześciu krajach Wspólnego Rynku — 89.

W Związku Sowieckim przypadają 32 telewizory na tysiąc mieszkańców, w porównaniu do 311 w Stanach Zjednoczonych i 96 w krajach Wspólnego Rynku. Odbiorników radiowych przypada w ZSRR 270 na tysiąc mieszkańców, gdy w Stanach Zjednoczonych jest ich 936, krajach Wspólnego Rynku — 242. Konsument amerykański zużywa dwa i pół razy więcej tkanin niż konsument sowiecki, a obywatel krajów Wspólnego Rynku dwa razy więcej. Jeśli ująć to w wagę odzienia, zużycie na głowę wynosi w Związku Sowieckim 13.2 funtów, w Stanach Zjednoczonych — 33 funtów i w krajach Wolnego Rynku — 19.8 funtów.

Nie dosyć na tym. Konsument sowiecki, który i tak ma zredukowaną możliwość zakupów, otrzymuje w dodatku o wiele mniej za swe pieniądze, niż konsumenci w wymienionych krajach. Dobra użytkowe sowieckie są gorszego gatunku niż te same produkty w uprzemysłowionych krajach Zachodu.

Ogólny obraz siły gospodarczej Sowietów otrzymuje się przez porównanie wysokości i rozdziału ich dochodu narodowego z krajami Zachodu. W roku 1962 sowiecki dochód narodowy, wynoszący \$256,300 milionów, był o ponad połowę niższy od dochodu Stanów Zjednoczonych (\$551,800 milionów), a również lekko niższy od połączonego dochodu krajów Wspólnego Rynku (\$280,000 milionów).

Jeśli zaś porównać, ile dochodu narodowego przypada na głowę mieszkańca, różnice są jeszcze bardziej uderzające: gdy w ZSRR odpowiednia cyfra wynosi \$1,160, w Stanach Zjednoczonych przypada na głowę \$3,000, a przeciętnie w krajach Wspólnego Rynku — \$1,600. Na obywatela sowieckiego przypada więc prawie 40 procent mniej, niż w Ameryce i za ledwie 75 procent dochodu krajów Wspólnego Rynku. Istnieje także ogromna różnica między Związkiem Sowieckim i krajami zachodnimi w zakresie rozdziału dochodu narodowego na konsumpcję i inwestycje. W ZSRR na konsumpcję idzie 42 procent dochodu narodowego, a na inwestycje aż 32 procent. W przeważającej liczbie krajów zachodnich konsumpcja obejmuje ponad 60 procent, inwestycje zaś tylko 20 lub mniej procent.

By dojść do tych cyfr eksperci zachodni musieli przebić się przez gąszcz fałszowanych statystyk sowieckich. I tak jednym z najczęściej powtarzanych hasel propagandowych jest twierdzenie, że gospodarka sowiecka rozwinęła się dużo szybciej niż gospodarka krajów kapitalistycznych. Statystyka rosyjska twierdzi, że produkcja sowiecka (czysta produkcja) wzrosła trzydziestokrotnie w latach 1913-1962. Twierdzenie to nie wytrzymuje zdaniem ekspertów żadnej poważnej analizy.

Ekonomiści zachodni przyznają, że w ostatnich latach w dziedzinie konsumpcji w Rosji nastąpiła znaczna poprawa, ale wciąż pozostaje ona daleko w tyle w porównaniu do Ameryki czy zachodniej Europy. W przeliczeniu na głowę ludności w Związku Sowieckim konsumpcja wynosiła w 1962 r. \$490, co stanowi jedną czwartą tego co przypada na jednego Amerykanina, a połowę konsumpcji jednego zachodniego Europejczyka. Cyfry z zakresu odżywiania się najlepiej ilustrują zachodzące dysproporcje: spożycie mąki na jednego mieszkańca w Rosji, Ameryce i zachodniej Europie wynosi w kilogramach rocznie 174.5, 63.4 i 97.8. Podobne proporcje zachodzą w spożyciu ziemniaków, natomiast jeśli chodzi o mięso Rosjanin spożywa 12.5 kilo rocznie, Amerykanin 85.0, zachodni Europejczyk: zaś — 53.9.

W zakresie więc zaspakajania potrzeb konsumpcyjnych swych obywateli system sowiecki będzie musiał przestać na odległą przyszłość terminy, które tak optymistycznie zapowiadał Chruszczow.

PROSIMY
ODNOWIĆ
PRENUMERATĘ

PUBLICYSTA gazety paryskiej „Le Monde“ André Fontaine omawiając kiedyś brytyjską politykę zagraniczną, zwrócił uwagę na pod rządą rolę geografii w stosunkach między Wielką Brytanią i Francją. Państwa te przedziela jedynie wąski pas morza, Caravelle francuskie i Vanguardy angielskie przebiegają odległość między Paryżem i Londynem w ciągu 45 minut, a Wielką Brytanię dzieli od Stanów Zjednoczonych ocean. Mimo to stosunki między Londynem i Waszyngtonem są o wiele bliższe i intymniejsze niż między Londynem a Paryżem. Można by rzec, że kanał Angielski rozszerzył się do rozmiarów oceanu, Atlantyk zaś zwęził się do rozmiarów kanału.

Wiele przyczyn złożyło się na to zjawisko. Rolę niezaprzeczalną odgrywa anglosaska wspólność języka i kultury w przeciwstawieniu do obcości, jaką odczuwała zawsze Wielka Brytania wobec starego kontynentu. Od kilku stuleci oczy Brytyjczyków były skierowane na wschód od Suez, ku dominium, protektoratom i posiadłościom kolonialnym Korony. Wielka Brytania panowała nad morzami, a nad jej zamorskimi terytoriami nigdy nie zachodziło słowice. Była mocarstwem światowym przestrzegającym w stosunku do Europy jednej głównie zasady: przeciwstawiania się każdej próbie zdobycia hegemonii na kontynencie przez jedno mocarstwo. Walczyła z Francją, gdy w niej dojrzała aspiracja do tej hegemonii, gdy zaś Niemcy porwały się na opanowanie Europy, walczyła z Niemcami. Broniała równowagi europejskiej, której naruszenie mogłoby zagrozić jej bezpieczeństwu. Poza tym to co się działo w Europie, niewiele obchodziło zapatrzonych w zamorskie przeszerzenie Brytyjczyków.

NOWA POLITYKA BRYTYJSKA

Po drugiej wojnie światowej tradycyjna polityka brytyjska stała się anachronizmem. Wielka Brytania musiała zrezygnować z roli pierwszego mocarstwa świata w obliczu dwóch potęg wyrosłych na wschodzie i zachodzie. Wyciągnęła z tego konsekwencje postanowiwszy związać swą politykę z polityką potęgi zachodniej — Stanami Zjednoczonymi — i nie czynić niczego co by ten intymny związek mogło zakłócić lub osłabić.

Nie znaczy to, by Londyn chciał podporządkować się całkowicie polityce Waszyngtonu. Przeciwnie, rządy brytyjskie dążyły do wpływania na politykę amerykańską i pośredniczenia w konfliktach, przeciwstawiając niedoświadczonym Yankesom technikę dyplomatyczną ukształtowaną w ciągu stuleci. Gdy powstał sojusz atlantycki, Wielka Brytania zajęła w nim miejsce uprzywilejowanego sojusznika Stanów Zjednoczonych i oddała całą jej politykę zagraniczną została skierowana na obronę tej pozycji. Pogodziła się z rolą „brilliant second“ w polityce światowej, pragnąc tylko wyciągnąć z tej roli jak najwięcej dla siebie korzyści.

Zatriumfował tu zmysł empiryczny Brytyjczyków, ich skłonność do godzenia się z faktami ukształtowanymi przez bieg wydarzeń, na które nie mogli oni mieć wpływu. Europa zachodnia po wojnie znalazła się w systemie amerykańskim i Wielka Brytania stała się jednym z filarów tego systemu. To właśnie sprawiło, że jej polityka stanęła w ostrej rozbieżności z polityką Francji de Gaulle'a.

Francja rzuciła bowiem wyzwanie systemowi amerykańskiemu w Europie i zadeklarowała dążenie do zmiany powojennego układu sił na tym kontynencie. Wzięła na siebie rolę przywódczą w dziele przebudowy kontynentu. Rządy brytyjskie nie wierzyły i nie wierzą w możliwość zorganizowania skutecznej europejskiej siły nuklearnej, rząd Wilsona uważa to za mrzonkę, gdy Francja, wbrew całemu światu, buduje swą „force de frappe“ widząc w niej zarodek przyszłej siły europejskiej. Rząd Wilsona powierza obronę Europy zachodniej Stanom Zjednoczonym ofiarując władcę poważnej części brytyjskiego potencjału nuklearnego do projektowanej przez siebie atlantyckiej siły nuklearnej. Część tego potencjału chce zachować dla ewentualnych potrzeb na wschód od Suez. Wielka Brytania ufa Stanom Zjednoczonym, Francja nie ufa im i ich gotowości do obrony Europy.

LEON KOWNACKI

KANAŁ I OCEAN

Starły się więc po obu stronach kanału dwie filozofie polityczne, dwie przeciwstawne doktryny. Za polityką brytyjską stoi potęga Stanów Zjednoczonych, za francuską — renesans Europy i nurtujące ją nastroje nacjonalistyczne. Czy Wielka Brytania ulegnie w końcu tej wzburzającej fali emancypacyjnej i przyjdzie do przekonania, że miejsce jej jest w Europie?

RYWALIZACJA

Broniąc swej pozycji uprzywilejowanego amerykańskiego sojusznika natrafia ona na groźnego rywala w

postaci Niemiec zachodnich, dziś już potężniejszych od niej gospodarczo i militarnie i wyrastających na filar polityki Stanów Zjednoczonych w Europie. Lojalność Bonn względem Waszyngtonu nie jest jednak bez zastrzeżeń — Niemcy nie zamierzają palić za sobą mostów łączących ich z Francją, siedząc na stołku amerykańskim nie rezygnują z zaczepienia się o stołek francuski, gdy Wielka Brytania jest wiernym i lojalnym sojusznikiem Waszyngtonu nawet wówczas, gdy jest w stosunku do polityki amerykańskiej sceptyczna.

Mimo tej przewagi brytyjskiej rywalizacja jest trudna i zbliża poniekąd Londyn do Paryża. Bo tylko połączone siły Wielkiej Brytanii i Francji mogłyby stanowić skuteczną przeciwwagę odradzającej się potęgi niemieckiej i zrównoważyć układ sił w przyszłej — miejmy nadzieję — zjednoczonej Europie. Zjednoczonej po Łabę? Po Bug? Czy od Atlantyku do Uralu?

Znaczna część społeczeństwa brytyjskiego zdaje się rozumieć, że Londyn nie może pozostać obojętny na

te pytania i odseparować się całkowicie od procesów odbywających się w Europie. Lecz na drodze tego przeświadczenia stoją nawarstwienia tradycji i nostalgia za szczątkami przeszłości imperialnej. Są też dziedziny, w których Wielka Brytania nie może się obyć bez amerykańskiego poparcia — by wspomnieć tylko o Adenie i Malajii lub o związkach światowych dolara i funta.

Wielka Brytania czuje się jeszcze znośnie w systemie amerykańskim i przynależność do tego systemu daje jej nadal empiryczne korzyści. Lecz sam system ulega dekompozycji, a w konsekwencji chwieją się podstawy powojennej polityki brytyjskiej. Nie wybiła jeszcze godzina decyzji, lecz nie wydaje się zbyt odległa.

TADEUSZ PISZCZKOWSKI

Pochwała pokoju ryskiego

W OSTATNICH czasach pojawiły się w emigracyjnej prasie polskiej pewne krytyczne głosy o traktacie ryskim, które nie powinny zostać bez odpowiedzi. Dowiedzieliśmy się z nich nie tylko, że traktat ten był „ostatnim gwoździem do trumny“ dla koncepcji federacyjnej Piłsudskiego, ale że był wręcz „fatalny“ (dla kogo?) — i że do jego zawarcia w ogóle dojść mogło tylko dzięki spirytystycznym skłonnościom głównego negocjatora polskiego (choć nie przewodniczącego delegacji), Stanisława Grabskiego. Do tego dodać by jeszcze trzeba bałamutne informacje o granicy ryskiej i jej historii, nie mówiąc o kawalerskich fantazjach niewątpliwie dzielnego oficera i odważnego publicysty, który żałował, że Piłsudski nie poświęcił Wilna i Lwowa, aby za tę cenę rozwalić imperium rosyjskie i sprowadzić Rosję (czy też wielkorusję) do jej granic sprzed Piotra Wielkiego. W dyskusji, jaka toczyła się w dość zamkniętym gronie, wyróżniały się rzeczowe uwagi konsula Poznańskiego, nieco tylko zakrapione sentymentalną łezką za wizją, która się rozwała bezpowrotnie, za federacją.

Poza tym dyskusja była tym bardziej absurdalna, że polskim autorem traktatu ryskiego przypisywała poniekąd odpowiedzialność za klęskę, jaka spotkała Polskę w roku 1939. Tak jak gdyby w traktacie tym leżały zarodki czy źródła katastrofy wrześniowej i jak gdyby oni byli w stanie bieg wypadków — po części zawiniony przez późniejszą politykę polską — swoimi decyzjami uprzedzić i uchylić. Otóż trzeba przede wszystkim stwierdzić, że traktat ryski był taki, jakie było nasze zwycięstwo, które odnieśliśmy nie pod Pskowem, ani nie pod Smoleńskiem, lecz pod Warszawą. Dlatego nie mógł to być ani pokój w Kiwerowej Gorce, pokój Batorego, ani pokój w Polanowie, Władysława IV. Zwycięstwo było piękne i chlubne, ale jak widać teraz z perspektywy lat, które upłynęły, było raczej cudem nad Wisłą czy Wieprzem, niż dwudziestą drugą decyzją bitwą w dziejach świata. Potęgi, jaka tkwi w Rosji, nie zła mała i opóźniło tylko jej pochod pod czerwonymi sztandarami rewolucji na zachód. I nie stało się tak dlatego, że ryscy „mirotwórcy“ zatrzymali zwycięskie wojska polskie w ich pościgu za bolszewikami, ale dlatego, że zwycięstwo militarne nie towarzyszył sukces polityczny. Wojna 1920 r., rozpoczęta kampanią kijowską, nie spełniła swego celu: nie było

masowego powstania narodowego na Ukrainie i przez to układ kwietniowy pomiędzy Piłsudskim a Petlurą pozostał martwą literą. Plany federacyjne Piłsudskiego nie zostały przekreślone przez sejm w Warszawie, a tym bardziej nie przez delegację polską w Rydze, ale przez ludność Ukrainy, która zachowała się biernie, jeżeli nie wrogo. Gdyby było inaczej, nie byłoby odwrotu spod Kijowa.

Był jeszcze jeden powód, dla którego żądania polskie w Rydze musiały być skromniejsze, niż by chcieli dzisiejsi krytycy pokoju ryskiego. Oto Rosja chociaż wewnętrznie sklócona i dotknięta rozbiem i anarchią, bynajmniej nie okazała się „trupem“, za jakiego miał ją Piłsudski przy końcu 1919 roku: kiedy zastanawiał się, jakie stanowisko zająć wobec zwalczających się stron w wojnie domowej. Jeżeli zaś nie była ona „trupem“ i miała pozostać trwałym sąsiadem na wschodzie — choćby przez słabą ścianę narodów kresowych — jedyny pokój, jaki narzucał się Polsce, to był pokój kompromisu i rozsadku. Dodajmy, że dalszej wojny społeczeństwo polskie nie chciało, że kraj był na dużej przestrzeni zrujnowany a ludność wycieńczona i po zmieniach kolejach wojny wcale nie pewna nowych zwycięstw. Kiedy państwo o słabszych zasobach dzięki przejściowej koniunkturze zwycięży potężniejszego przeciwnika, nie może mu narzucać „dyktatu“ i warunków, które nie dadzą się długo utrzymać. Sama logika zmusza je do umiaru. Tak było np. w wypadku Japonii, która po zwycięstwach imponujących nad Rosją na Dalekim Wschodzie zadowolona była w pokoju w Portsmouth stosunkowo skromnymi korzyściami. Dyktować pokój może tylko naprawdę silniejszy — słabszemu.

GRANICA RYSKA

Wyznaczając przyszłą granicę wschodnią Rzeczypospolitej negocjatorzy polscy brać musieli pod uwagę stan faktyczny, w jakim toczyły się rokowania. Zaczęły się one jeszcze przed zakończeniem działań wojennych i nawet w okresie niepowodzeń, zrazu w Mińsku, później dopiero w Rydze. I choć sytuacja wojenna stała się dla Polaków poprawiała od chwili zwycięstwa pod Warszawą, na stronie polskiej ciążyła atmosfera grozy z lipca i sierpnia, jak również pewne fakty dokonane. Fakty te dotyczyły zwłaszcza samej koncepcji pokoju z Rosją i granicy wschodniej. Ukraina była już mocno w rękach rosyjskich, a

Litwa ani myślała o federacji z Polską, mając przejściowo Wilno, które trzymała nie tylko z woli Rosji, ale i mocarstw sprzymierzonych, wyrażonej w ich dyktacie w Spa. O pokoju na zasadach federacyjnych mogła być mowa na początku r. 1920-go, przed wyprawą kijowską, na podstawie innego kompromisu, o wiele korzystniejszego dla Polski.

Z ogłoszonych niedawno w Polsce (co prawda w ulamkach tylko) dokumentów dowiedzieliśmy się o szczegółach poufnych rozmów, jakie prowadzone były w październiku i w listopadzie 1919 roku w Mikoszewiczach na Polesiu pomiędzy wysłannikami Lenina z Marchlewskim na czele, a mężami zaufania Naczelnika Państwa Józefa Piłsudskiego, w osobach kapitana Bötnera i hr. Kossakowskiego (z MSZ-tu). W rozmowach tych wypowiedziana została ze strony sowieckiej myśl „zawarcia pokoju na podstawie pozostawienia sobie wzajemnie wyłącznego prawa urzędowania losu kraju i porozumienia się z miejscową ludnością. Polsce na obszarze północnym, tj. na Litwie i Białorusi, zaś Rosji na obszarze południowym — Ukraina“. Tak relacjonuje w swoich pamiętnikach zmarły parę lat temu Kossakowski. Była to oferta Rosji pod adresem Polski: Litwa i Białoruś (zapewne tylko jej większa część) wzamian za Ukrainę. Oferta ta nie została przyjęta. Jest rzeczą zbyteczną zastanawiać się nad tym, „co by było gdyby...“ — i czy pokój zawarty np. w Borysowie na wiosnę 1920 roku byłby trwalszy od pokoju ryskiego.

Nie da się jednak zaprzeczyć, że pomimo odniesionego przez Polskę zwycięstwa w niezakończoną jeszcze wojnę, nasze położenie negocjacyjne gorsze było teraz niż pół roku przedtem. Bo atuty „federacyjne“ znajdowały się niemal wszystkie w rękach sowieckich. Co najwyżej można by próbować tworzyć jakąś Zachodnią Białoruś ze stolicą w Mińsku wewnątrz granic Rzeczypospolitej. Rosja występowała w Rydze także i w imieniu sowieckiej republiki białoruskiej — Ukraina sowiecka miała oddzielną delegację — ale zgodziłaby się zapewne na takie dwie Białorusie. Dla większości delegacji polskiej rzecz nie wydawała się jednak dość atrakcyjna.

Najwybitniejszą indywidualnością w delegacji polskiej był bezsprzecznie Stanisław Grabski. Był on zasadniczo przeciwnikiem koncepcji federacyjnej, ale ta praktycznie nie wchodziła teraz w rachubę bez nowej wyprawy kijowskiej oraz wyprawy na Wilno i Kowno. Istniały zatem — jego zdaniem — tylko dwie możliwości. Pierwszą byłaby granica mniej więcej „etnograficzna“, która miała swoich zwolenników w Polsce — i to nie tylko na lewicy, także w pewnych kołach konserwatywnych w Galicji. Granicę taką Grabski odrzucał, ponieważ nie była ona możliwa do wytyczenia bez dużych ofiar kosztem żywiołu polskiego — i byłaby dla Polski niekorzystna i niebezpieczna pod względem strategicznym. Drugą alternatywą było przyjęcie koncepcji t.zw. granicy Dmowskiego, wcielając do Polski obok powiatów o większości polskiej lub dużym odsetku Polaków, także takie rejony, w których większość była wyraźnie niepoliska, gdzie jednak element polski posiadał dominującą pozycję kulturalną i gos-

podarczą. Tylko że Dmowski był „maksymalistą“, a Grabski „minimalistą“. Chciał, by w Polsce, która nie byłaby federacją, ale państwem jednolitym, ludności niepolskiej było jak najmniej. Dlatego „skromniejszy“ był przy wysuwaniu postulatów terytorialnych, choć niesłuszne jest zdanie zaczerpnięte z tendencyjnych wspomnień Jana Dąbskiego, który był przewodniczącym delegacji polskiej, że można było wynegocjować od Rosji znacznie więcej.

Istotnie, można było uzyskać Mińsk z okolicą, Grabski jednak uważał, że będzie korzystniej, jeżeli potencjalne centrum narodowego ruchu białoruskiego znajdować się będzie nie na wewnątrz, lecz raczej na zewnątrz Polski. Słyszałem tę jego tezę z jego własnych ust — wcale tego nie żałował. Żałował natomiast, że nie można było przyłączyć do Polski trzech powiatów podolskich na wschodnim brzegu Zbrucza, powiatów z dużymi skupieniami polskimi: Kamieniec Podolski, Płoskirów, Latyczów. Nie można było, ponieważ zrezygnował już z tych powiatów w imieniu Polski Piłsudski w umowie z Ukrainą Republika Ludową Petlury.

Grabski potrafił swoje poglądy narzucić całej delegacji — zawsze miał za sobą jej większość i tak powstała granica ryska, z którą Polska czuła się całkiem szczęśliwa. Głośno protestowali wielcy i drobni ziemianie rejonów białoruskich pozostawionych Rosji (czy też formalnie Białorusi sowieckiej) i wszyscy uchodzący z Mińszczyzny, którą „granica Dmowskiego“ przyłączyła do Polski. Ale ogół społeczeństwa polskiego zżył się z tą granicą, która dawała mu wystarczający obszar państwowy i „szeroki oddech“.

W dyskusji, o której mowa była na początku artykułu, wytykano Grabskiemu, a wraz z nim „endekom“ i nie-endekom, którzy go poparli w delegacji, że ich punktem wyjścia była chęć „pojednania“ z Rosją. Ogromna większość Polaków chciała wówczas — i później — tego pojednania, mogło się zaś zdawać, że i strona rosyjska pragnęła wtedy pojednania. Niczego by zresztą nie zmieniło, gdyby traktat zawierany był z obu stron w złej wierze. W żadnym zaś razie nie czyniłoby to traktatu ryskiego trwałszym. Trwalszym mogła go uczynić tylko polityka umacniająca pokój w całej Europie.

Wreszcie jedna jeszcze uwaga: Granica ryska była granicą wschodnią Polski, a nie żadnej federacji — i Rosja (oraz Ukraina sowiecka) wyzwały się w traktacie ryskim wszelkich roszczeń do terytoriów położonych na zachód od tej granicy nie na rzecz jakiejś federacji, lecz wyraźnie na rzecz Rzeczypospolitej Polskiej. Stworzyło to tym mocniejszy tytuł prawny Polski do ziem wschodnich. Stąd też utrata tych ziem, zagarniętych przez Rosję w wyniku drugiej wojny światowej, wniosła na porządek dzienny sprawę rekompensaty dla Polski. W naszym przekonaniu, ziemie zachodnie należały się nam jako rekompensata ze strony Niemiec za krzywdy, jakie nam wyrządziły przez bezprawną napad i okrutną okupację. Ale w oczach świata nasze ziemie zachodnie są rekompensatą za utraconą przez Polskę wschodnią połowę państwa. Państwa polskiego.

STANISŁAW KOZICKI HISTORIA LIGI NARODOWEJ (Okres 1887 — 1907)

Dzieło liczące 622 stron, w płóciennnej oprawie, z pełnym indeksem oraz spisem zmarłych i żyjących członków Ligi Narodowej.

Do nabycia we wszystkich księgarniach.

Cena: £ 3.0.0.

S k ł a d g ł ó w n y :

„MYŚL POLSKA“

8, Alma Terrace, London, W. 8

o r a z :

INSTYTUT ROMANA DMOWSKIEGO
P.O. Box 1394, Grand Central Station
New York 17, N.Y.

F. A. ARCISZEWSKI

GENERAŁOWIE PISZA

TAK JAK w innych narodach liczni wybitni polscy generałowie napisali już swoje wspomnienia (zarówno na emigracji jak i oficerowie przedwojennego autoramentu w kraju), a nie ulega wątpliwości, że wyjdą jeszcze dalsze. W ciągu ostatniej zimy wyszły na emigracji aż trzy książki pamiątnikarskie o działaniach w drugiej wojnie światowej i o okresie międzywojennym. Są one tym ciekawe, że każdy z trzech autorów pochodzi z innego środowiska, ma inne wykształcenie zawodowe, inne przeszedł koleje losów, z innego punktu obserwacyjnego patrzy, a wszyscy trzej mają bardzo podobne opinie krytyczne, które uzupełniają wielkie dzieło oficjalne Komisji Historycznej Sztabu Głównego o „Polskich Siłach Zbrojnych w drugiej wojnie światowej“.

Generał Józef Zając wyszedł z Legionem Wschodnim ze Lwowa i zaczyna tom pierwszy swej książki „Dwie Wojny“ od rozwiązania Legionu Wschodniego w Mszanie Dolnej i przystąpienia z resztkami ochotników do 3-go pułku legionowego. Omawia walki II-giej brygady legionów w kampanii karpackiej, besarabskiej i wołyńskiej. W czasie niedługiej choroby i rekonwalescencji zdołał ukończyć swoje egzamina na uniwersytecie krakowskim i uzyskać doktorat filozofii. W walkach był dwukrotnie ranny. Opisuje przesilenie w Legionach, w czasie pobytu pod Baranowiczami w jesieni 1916 r., gdy Józef Piłsudski nareszcie doszedł do wniosku, że państwowemu centralnemu należy odmówić rekruta i nakazał oficerom składanie podań o zwolnienie z Legionów. Major Zając wstąpił jednak do formowanej przez Niemców „Polnische Wehrmacht“ sądząc, że istnienie możliwe silnego wojska polskiego pod bronią nigdy Polsce nie zaszkodzi. Doszło do rozbitcia Legionów. Państwa centralne postanowiły oddać władzom austriackim wszystkich poddanych austriackich wcielając ich bądź do nowo utworzonego „Polskiego Korpusu Posiłkowego“, bądź do szeregów wojsk austriackich, zaś żołnierzy pochodzących z dawnego Królestwa Polskiego, którzy odmawiali złożenia przysięgi, osadzić w Benjaminowie i Szczepiornie. Major Zając przysięgę złożył i wyjechał z Polskim Korpusem Posiłkowym, jako dowódca pułku, na Bukowinę, gdzie z początkiem lutego 1918 r. nadchodzi złowroga wiadomość o zawarciu pokoju brzeskiego, z przyłączeniem ziem chełmskiej do Ukrainy. Opis przygotowań do przejścia II-giej brygady przez front rosyjski pod Rarańczą celem połączenia się z tzw. II-gim i III-cim korpusem polskim na Ukrainie, różni się w relacji gen. Zająca od pamiątników gen. Józefa Hallera. Według gen. Zająca decydująca narada kilku oficerów odbyła się 14 lutego 1918 wieczorem w jego kawalerze, a generałowi Hallerowi zameldowano o powziętej uchwale post factum. Inicjatywa akcji wyszła od dołu. Gen. Haller przyłączył się bez wahania, przyjął dowództwo i zatwierdził

*) Józef Zając, „Dwie wojny“, Kat. Ośr. Wyd. „Veritas“, Londyn 1964, stron 477; drugi tom w przygotowaniu do druku.

plan działania. — 15 lutego przekroczyło około 1400 -1500 żołnierzy, pod ogniem artylerii austriackiej okopy i przeszło spod władzy państw centralnych do obozu koalicji sprzymierzonych. Po połączeniu się z oddziałami polskimi generałów Stankiewicza i Michaelisa, ruszono w łącznej sile około 6.000 żołnierzy ku wschodowi, aby przekroczyć Dniepr. Tam doszło do tzw. bitwy pod Kaniowem z wojskami niemieckimi, która trwała kilka godzin, po czym żołnierze polscy, z powodu braku amunicji, rozproszyli się, kierując się samodzielnie na Odesę, Kubań, Syberię, Murmańsk etc. Zając został wzięty do niewoli, ale zdołał z niej zbiec.

W odrodzonej Rzeczypospolitej został 27-letni pułkownik Zając zweryfikowany w stopniu pułkownika wysokiego starszeństwa; w czasie wojny polsko-bolszewickiej był po części w École Supérieure de la Guerre w Paryżu a po części szefem sztabu 3-ej armii. Po wojnie został szefem oddziału org.-mob. sztabu generalnego w Warszawie. Po kilku latach został dowódcą 23 dywizji piechoty na Górnym Śląsku i generałem, a potem dowódcą korpusu we Lwowie. W roku 1936 został, zupełnie niespodziewanie i bez żadnego ku temu fachowego przygotowania, mianowany Inspektorem Obrony Przeciwlotniczej państwa, a tuż przed wojną Naczelnym Dowódcą Lotnictwa i Obrony Przeciwlotniczej.

O 19-to letnim okresie pokojowego organizowania Polskich Sił Zbrojnych ma generał Zając — jako były szef oddziału organizacyjnego Sztabu Generalnego — dużo uwag krytycznych, zwłaszcza o niecelowości zmian w organizacji najwyższych władz wojskowych po przewrocie majowym 1926 r., (str. 82, 118-120, 151), o nieodpowiedniej organizacji lotnictwa i naczelnych władz lotniczych, i o... kompletnym braku planu użycia lotnictwa na wypadek wojny (str. 172). Z krótkiego opisu tragicznej kampanii wrześniowej 1939 r. zwraca uwagę jego twierdzenie, że to on już 3 i 4 września polecił wszystkich lotników, którzy stają się chwilowo zbędni z powodu braku sprzętu, ewakuować do południowo-wschodniej części kraju, i że to jego zarządzenie (zatwierdzone przez marsz. Śmigłego) było główną przyczyną uratowania w przyszłości około 8.000 personelu lotniczego do dalszej akcji we Francji i w Anglii (str. 206-208).

Następuje w pamiątnikach gen. Zająca obszerny opis wielkich trudności personalnych z młodzieżą lotniczą w stacji zbiornej Lyon we Francji i w obozie East Church w Anglii i o działaniach lotnictwa na emigracji, o których to sprawach wolałbym, by bardziej kompetentną opinię napisał oficer lotnictwa. Po ewakuacji z Francji i przybyciu do Anglii został gen. Zając odwołany ze stanowiska dowódcy sił powietrznych i przeniesiony na inne, nielotnicze wysokie stanowisko w Szkocji wzgl. na Bliskim Wschodzie. Zarzuty stawiane generałowi Zającowi przez komisję niesławnego płk. Izzydora Modelskiego w Biurze Rejestracyjnym M. S. Wojsk i w Trybunale Orzekającym w Paryżu były, zdaje się, głównym motywem napisania tomu pierwszego książki

„Dwie Wojny“, aby się ze stawianych mu zarzutów oczyścić. Przytacza dosłownie cały „akt oskarżenia“ i swoją obronę.

Książka generała Stanisława Kopańskiego „Moja Służba w Wojsku Polskim, 1917-1939“ była już omawiana w Myśli Polskiej z 15 marca br. przez J. Płoskiego. Powracam do niej raz jeszcze, aby podkreślić nie tylko ogromną różnicę fachowego wykształcenia tego wybitnego, wolno awansującego oficera zawodowego w stosunku do błyskawicznej kariery generała Zająca, ale także zgodność opinii obydwu generałów o stosunkach w okresie międzywojennym w polskich siłach zbrojnych. Gen. Kopański był absolwentem najstarszej w Rosji, Michajłowskiej szkoły artylerii w Petersburgu, po czym służył w elitarniej konnej artylerii, a pod koniec 1917 r. wstąpił do polskiego korpusu gen. Dowbora Muśnickiego, gdzie pozostał aż do jego rozwiązania. W połowie roku 1918 przybył do Warszawy i zapisał się na Politechnikę. Na pierwszą wiadomość o obronie Lwowa dążył do formującego się w Radomiu plutonu polskiej artylerii konnej. Biorze udział w obronie Lwowa i w pierwszej wyprawie wileńskiej 1919 r., gdzie zostaje ciężko ranny, tracąc jedno oko. Po rekonwalescencji wraca natychmiast na front i bierze, jako dowódca baterii konnej, udział w walkach nad Dźwiną, na Białej Rusi i na Wołyniu, w składzie brygady, potem dywizji kawalerii, aż do zakończenia wojny polsko-bolszewickiej.

Po wojnie kontynuuje studia na politechnice warszawskiej, uzyskując dyplom inżyniera budowy dróg i mostów, po czym... powraca do swojej ukochanej konnej artylerii jako dowódca baterii. Następnie przejść musi przez polskie Centrum Wyszkolenia Artylerii w Toruniu, gdzie, po ukończeniu, zostaje wykładowcą w szkole oficerskiej. Wkrótce zostaje wysłany na 6-miesięczny kurs do École d'Application d'Artillerie w Fontainebleau, zaznajamia się z Centre d'Instruction Automobile i zwiedza w Coëtquidan koncentrację wszystkich francuskich szkół oficerskich.

Przewrót majowy 1926 r. zastał kapitana Kopańskiego znów w C.W. Art. w Toruniu. W latach 1927/29 odbywał, tak jak gen. Zając, dwuletnie studia w École Supérieure de la Guerre w Paryżu, po czym zostaje powołany do Oddziału Operacyjnego Sztabu Głównego w Warszawie. Wyraża się zdecydowanie ujemnie o reorganizacji najwyższych władz wojskowych dokonanej przez marsz. Piłsudskiego po przewrocie majowym, a zwłaszcza o obniżeniu poziomu prac przygotowawczych do wojny w sztabie głównym i o upadku ducha koleżeństwa i wzajemnego zaufania w korpusie oficerskim (str. 149, 176-182, 195).

Potem był major Kopański dowódcą dywizjonu artylerii ciężkiej we Lwowie, był na 2 miesięcznym stażu przy armii jugosłowiańskiej i na licznych krótkich kursach, podróżach taktycznych Wyższej Szkoły Wojennej etc. W roku 1932 został jako podpułkownik powołany, po raz drugi, do sztabu głównego, gdzie stwierdza z ubolewaniem dalszy spadek roli operacyjnej sztabu głównego do minimalnego zakresu, wieloletnie zaniedbanie prac przygotowawczych na wypadek wojny z Niemcami, kompletny brak wykształcenia wyższych dowódców, okres niemal kompletnego marazmu (str. 208). Powołany następnie na stanowisko zastępcy dowódcy broni pancernej w M. S. Wojsk świadczy o zupełnie macoszym traktowaniu tej broni i jej korpusu oficerskiego przez najwyższe władze wojskowe. Na wiosnę 1937 został mianowany dowódcą 1 pułku artylerii motorowej w Stryju. Brał udział w zajęciu Zaolzia, po czym został, po raz trzeci, powołany do sztabu głównego, tym razem na stanowisko szefa oddziału operacyjnego, gdzie polecono mu prace nad planem operacyjnym... przeciwko Rosji. Dopiero 20 marca 1939 otrzymał polecenie szefa sztabu głównego gen. W. Stachewicza odłożenia planu wschodniego do szafy żelaznej i przystąpienia w największym

pośpiechu do pracy nad planem zachodnim (str. 268).

Liczne uwagi krytyczne byłego szefa oddziału operacyjnego sztabu głównego płk. Kopańskiego o zaniedbaniu planów operacyjnych i o ich tajemniczości pokrywają się ze wspomnieniami byłego szefa oddziału organizacyjno-mobilizacyjnego sztabu generalnego generała Zająca i uzupełniają przykre prawdy podane w dziele oficjalnym Biura Historycznego „Polskie Siły Zbrojne w drugiej wojnie światowej“.

Trzeci generał, który wydał ostatniej zimy książkę o przejściach wojennych, to generał Tadeusz Machalski, absolwent starodawnej Teresiańskiej akademii wojskowej w Wiener Neustadt, uczestnik pierwszej wojny światowej w szeregach ułanów austriackich, uczestnik wojny polsko-bolszewickiej w dywizji kawalerii, absolwent Wyższej Szkoły Wojennej w Polsce, 10-letni dowódca pułku ułanów na kresach wschodnich, a w czasie wojny polski attaché wojskowy w Turcji. Praca jego pt. „Pod Prąd“ ma nieco inny charakter niż prace generałów Zająca i Kopańskiego. Jest to nie tyle praca pamiątnikarska co studium krytyczne kampanii wrześniowej 1939 r. i przygotowań do niej, pisane na podstawie dzieła historycznego „Polskie Siły Zbrojne...“ Autor dodaje dużo własnych uwag krytycznych, w formie istnej szarży kawalerskiej, rąbiąc szablą w prawo i w lewo w obóz majowy, który czyni odpowiedzialnym za złe przygotowanie dyplomatyczne i materialne i złe kierownictwo akcją wojenną. Wiele z jego uwag jest słusznych, ale wnioski końcowe są przeszarżowane, bo nie są dostatecznie oparte o dokumentację, a tylko wnioskami osobistymi autora. Niemniej jednak książka gen. Machalskiego rzuca dużo ostrego światła na różne wydarzenia przedwojenne i wojenne.

Wspomniane prace trzech generałów, łącznie z pracą podstawową Komisji Historycznej „Polskie Siły Zbrojne...“ opracowaną pod redakcją naczelną wielce zasłużonego płk. dypl. Adama Sawczyńskiego i opartą na pełnej dokumentacji, dają już dostateczną ilość materiału do pokuszenia się o ustalenie wniosków historycznych.

Rokosz majowy 1926 r., ochrzczonej następnie przewrotem majowym, potem przełomem majowym, a ostatnio skromnie demonstracją wojskową, wykonany był pod pozorem konieczności sanacji moralnej w systemie rządzenia, dla dania marszałkowi Piłsudskiemu, będącemu w Sulejówku, decydującego wpływu na sprawy wojskowe, przeprowadzenia zmiany orga-

*) Ciąg dalszy swej wybitnej kariery wojennej opisał generał Kopański już poprzednio w książce „Wspomnienia wojenne 1939-46“, omówionej w Myśli Polskiej z 15 stycznia 1962 r. ***) Tadeusz Machalski, „Pod Prąd“, B. Świdzki — Londyn 1964, stron 223.

LISTY DO REDAKCJI

WARTOŚCIOWI LUDZIE

Szanowny Panie Redaktorze,
Hrabieniu Claude-Henri de Saint-Simon wytoczono proces za opowieść, która dała mu w 1822 roku szeroki rozgłos. W tej opowieści twierdził on, że gdyby zniknęło 50 dworzan, a wśród nich nawet niektórzy członkowie rodziny królewskiej, 50 największych właścicieli ziemskich i 50 najwyższych urzędników, to nie wyrządziłoby to Francji żadnej istotnej szkody, bo zastąpiliby ich ludzie mający te same wartości. Gdyby natomiast Francja straciła 50 swych najznakomitszych uczonych, 50 najważniejszych przemysłowców i 50 największych artystów, to potęga Francji uległaby dotkliwemu zmniejszeniu. Trudno dziś powiedzieć co Saint-Simonowi podsunęło tę myśl. Pewnej analogii, lecz na mniejszą skalę można by doszukać się w wypędzeniu Hugonotów przy końcu XVII wieku z Francji, którzy swymi umiejętnościami praktycznymi bardzo przyczynili się do podniesienia gospodarki narodowej Prus, jednocześnie uszczuplając zdolności Francji.

Przed kilku laty przeglądałem statystykę wysokich uposażeń w Stanach Zjednoczonych. Z zestawienia tego wy-

nizacji najwyższych władz państwowych i dania mu odtąd stałego wpływu na wszystkie sprawy państwowe. Przypomnijmy, że marszałek Piłsudski był, na kilka dni przed zamachem zbrojnym, zapraszany do składu rządu na stanowisko ministra spraw wojskowych i propozycji tej nie przyjął, jako też że wszystkie tzw. „nieprawości“ polityczne, skarbowe i moralne, na które się przed przewrotem powoływał, nie zostały po przewrocie majowym sanowane, a raczej spotęgowane.

Pod względem politycznym nastąpił zupełny upadek młodego, ząbkującego parlamentaryzmu demokratycznego i rozwój rządów autorytarywnych, z takimi objawami jak napady „nieznanych sprawców“, maltretowanie działaczy politycznych w Brześciu n/B., fałszowaniem wyborów do sejmu, nadużywaniem funduszy publicznych na korzyść partii rządzącej na nieznana dotąd skalę, bezprawnym więzieniu w Berezie Kartuskiej etc., co doprowadziło do rozbitcia społeczeństwa na całe pokolenie.

Pod względem wojskowym — a tymi sprawami chcemy się tu głównie zająć — reorganizacja najwyższych władz wojskowych, przeprowadzona przez marsz. Piłsudskiego, dała wynik ujemny. Stworzył on stanowisko Generalnego Inspektora Sił Zbrojnych i podporządkował sobie nie tylko szefa sztabu generalnego, ale i ministra spraw wojskowych, z zamiarem oddzielenia kierownictwa administracji pokojowej wojska od kierownictwa pracami przygotowawczymi do wojny. — W całym korpusie oficerskim sił zbrojnych spodziewano się nowej fazy intensywnych prac mobilizacyjno-operacyjnych i powszechnej modernizacji sił zbrojnych. — Obecnie wykazuje historia, że zamiast poprawy nastąpiło na tzw. „torze wojennym“, tj. w dziedzinie przygotowań mobilizacyjnych i operacyjnych, pogorszenie. Prace sztabu głównego zostały zmniejszone, poziom wykształcenia oficerów w wyższej szkole wojennej obniżony, wykształcenie wyższych dowódców zaniedbane, a generalny inspektor sił zbrojnych łącznie z kilkoma inspektorami armii nie wykonywali ani części prac robionych poprzednio przez sztab generalny. Przez 9 lat, to jest prawie połowę okresu międzywojennego (!), aż do objęcia G.I.S. Zbr. przez marszałka Śmigłego, większość tych prac przygotowawczych „na torze wojennym“ leżała wręcz odłogiem.

Ale i później marszałek Śmigły utrzymał przez długie lata zasadę marszałka Piłsudskiego opracowywania planów operacyjnych tylko przeciwko Rosji, z pozostawieniem planów przeciwko Niemcom ostatniej chwili. Te zaniedbania dały później fatalne skutki w czasie kampanii wrześniowej 1939 r.

Można dziś — po prawie 40 latach — uznać za historycznie ustalone, że przewrót majowy 1926 r. dał w swej konsekwencji, nie tylko na polu wewnętrznopolitycznym, ale i na polu przygotowań sił zbrojnych do obrony kraju, wyniki szkodliwe.

plywało że od 30.000 do 300.000 dolarów rocznie, zarabiał 17.000 osób na kierowniczych stanowiskach. Lecz zaraz pod spodem była uwaga, iż nie więcej jak 4.500 (z tych 17.000) jest „par excellence“ kierownikami, których nie tylko stać na zarządzanie ale posiadają inicjatywę i potrafią zmieniać i udokonać swe przedsiębiorstwa.

Te niewielkie cyfry są wymowne, jeśli chodzi o wartość odpowiednich ludzi. Ostatnio rząd Stanów Zjednoczonych ogłosił Białą Księgę dotyczącą Wietnamu. Z zestawienia strat wynika, że komuniści w Południowym Wietnamie zamordowali 1.350 i uprowadzili 8.400 osób cywilnych, oraz zamordowali 435 i uprowadzili 1.131 przywódców południowo-wietnamskich.

Razem uniemożliwili dla siebie osób cywilnych 9.750 i przywódców 1.566. Komuniści na pewno wybierali najwartościowszy element tak dla Południowego Wietnamu jak i zachodniej idei wolności. Jest to wielka strata.

Łączę wyrazy szacunku
Stanisław Nieciecki
5 kwietnia 1965 r.
Bayonne,
New Jersey.

ROMAN DMOWSKI

MYŚLI NOWOCZESNEGO POLAKA

Wydanie siódme. Londyn, 1953. Stron 122.

Cena: 20 sh.

POLITYKA POLSKA I ODBUDOWANIE PAŃSTWA

w dwóch tomach

Wydanie trzecie. Hanower, 1947. Stron 258 i 168.

Cena obu tomów: 25 sh.

KOŚCIÓŁ, NARÓD I PAŃSTWO

Siódme wydanie millennialne. Stron 32.

Cena: 4 sh.

Do nabycia:

w Administracji „Myśli Polskiej“
8, Alma Terrace, London, W. 8

POSTAC Sir Roya Welensky'ego*) może nas zainteresować z dwóch powodów: po pierwsze — jego pochodzenie, po drugie — czasu w jakim przyszło mu żyć i działać.

Zaraz po drugiej wojnie światowej kontynent afrykański zaczął budzić się do samodzielności. Świadomość narodu ogarnęła wszystkie rasy, plemiona i szczepy. Nie była to świadomość w naszym zachodnim tego słowa znaczeniu. Na pojęcie narodu oprócz ludności i obszaru składała się również jego dorobek kulturalny, poczucie wspólnoty i język. Trudno jest mówić o wspólnocie lub dziedzictwie kulturalnym ludów Afryki. Mówią one różnymi rzeczami, dzieli je obyczaj plemienny, wierzenia, przesady i walki szczepowe. Ruch wyzwolenczy nie wpływał z przeszłości lecz miał na oku przyszłość. Był to raczej nacjonalizm pigmentu skóry, a nie poczucie narodu. Dążenie do samostanowienia miało na celu uwolnienie się z opieki białego człowieka i uchwycenie władzy w swe ręce.

Prąd ten znalazł oficjalne poparcie Organizacji Narodów Zjednoczonych. Był też podsycany przez państwa komunistyczne.

Ojciec Welensky'ego pochodził spod Wilna, z rodziny żydowskiej. Po odrabianiu sobie palca u prawej ręki dla salwowania się od służby wojskowej w carskiej armii, musiał uchodzić za granicę. Schronił się do Szwecji, skąd przeniósł się do Niemiec. Tam zajmował się przemysłem koni do Francji w czasie wojny Prusko-Francuskiej 1870-1871. Przed wyemigracją sprawiedliwoci uciekł do Ameryki, gdzie również długo nie zabawił. Gorączka diamentowaścią przyciągnęła go do Cape Town.

W tym czasie wpływy angielskie w Płd. Afryce umacniał Cecil Rhodes. Za pomocą różnych machinacji zdobył on i poszerzył bogate obszary dla korony brytyjskiej. Zostały one później nazwane jego imieniem. Rodezja, obszar większy siedem razy od Anglii, była pod zarządem Brytyjskiej Spółki Afrykańskiej. Na podstawie królewskiego przywileju Towarzystwo to miało wyłączne prawa eksploatacji добытого obszaru, posiadało ziemię i kopalnię. Jak również mieszkańców i ich los w swoim ręku. Udzielało pozwoleń na otwarcie przedsiębiorstw, warsztatów, sklepów, przydzielało ziemię osadnikom i właściwie spełniało funkcje rządu.

Roy Welensky urodził się w 1907 roku jako 13-te dziecko w rodzinie. Miał bardzo trudne dzieciństwo. Ojciec jego przerzucił się z miejsca na miejsce w poszukiwaniu diamentów lub łatwego zarobku, nigdy nie doszedł do większego majątku. Umarł w przytulku dla starców. Młody Roy nie dostał żadnego spadku. Odziedziczył natomiast po ojcu determinację, zdolność do szybkich decyzji i pęd do działania. Po matce, Niemce, — pracowitość i uporządkowanie myślowe.

Po ukończeniu szkoły podstawowej dla najbardziej potrzebnych zabrał się do pracy. Najpierw jako subiekt sklepowy, a potem na kolei jako palacz parowozowy. Wkrótce awansował na maszynistę, ożenił się z córką osadnika szkockiego i osiadł na stałe w Broken Hill.

Żona stała się jego natchnieniem do dalszej pracy nad sobą, i rozbudziła w nim poczucie odpowiedzialności. Lat spędzone na kolei były okresem wyjątkowego samokształcenia się. Czytał bardzo wiele, często w czasie prowadzenia pociągu przez obszerny pusty kraj. Przeczytane książki poszerzały jego horyzonty i budziły nowe zainteresowania. W godzinach wolnych od pracy uprawiał też sport. Stał się nawet popularny jako bokser. Wkrótce stanął na czele Związku Zaw. Kolejarzy. Zastąpił jako obrońca czarnych robotników. Był to czas, gdy na ludy kolonialne patrzono jako na tanią siłę roboczą. Welensky stanowczo przeciwstawił się temu. Postawił zasadę równej płacy za jednakową pracę, niezależnie od koloru skóry. Po zorganizowaniu Związku Kolejarzy pomógł wydatnie w utworzeniu Związku górników. Praca w stowarzyszeniach robotniczych uczyniła z niego znaną osobistość i doprowadziła go do Rady Ustawodawczej. Miał wtedy lat 31. W Radzie nie znalazł żadnego planu działania. Wybierani członkowie nie mieli programu ani celu. Zadaniem ich było „reprezentować”. Welensky postanowił to zmienić, przeorganizować i nadać

WACŁAW NETTER

Ostatni premier Rodezji

przedstawicielstwu rumieńców życia. Doszedł do wniosku, że sam jeden niczego nie zrobi. Stworzył więc stronnictwo, Partię Pracy, i na niej postawił skoncentrować uwagę. Partia postawiła sobie za cel obronę interesów ludzi pracy. W polityce zagranicznej zainicjował połączenie obu Rodezji w jeden organizm administracyjny, celem uzyskania autonomii i większej niezależności od Korony Brytyjskiej. Dla propagowania swoich poglądów i zamierzeń Welensky rozpoczął wydawać pismo „Northern News”.

Następny etap walki nastąpił po zakończeniu wojny światowej w 1945 roku. Był już wtedy przywódcą większości w Radzie Ustawodawczej Płn. Rodezji. Wystąpił z projektem opodatkowania dochodów Brytyjskiej Spółki Płd. Afrykańskiej, która ciągnęła ogromne zyski z miejscowych kopalń. Po długich zabiegach, sporach, procesach i innych tarapatach z zarządem Spółki, gubernatorem i rządem JKM, przeformował Welensky ustawę upoważniającą opodatkowanie towarzystwa. Podstawy finansowe Federacji zostały w ten sposób zabezpieczone.

Nowa konstytucja określiła dokładnie zasięg władzy poszczególnych terytoriów i rządu federalnego. Powstała forma nalezała teraz wypełnić treścią. Z trzech obszarów federacji Nyasaland był najbardziej, stał najniższe cywilizacyjnie i stanowił ciężar dla nowopowstałego związku. Rodezja Płn. posiadała bogate złoża miedzi, cynku i ołowiu. Rodezja Płd. stała najwyższą organizacyjnie, miała największy odsetek białej ludności. Wyprzedzała dwa pozostałe kraje na polu przemysłowym, handlowym i społecznym. Zadaniem rządu Federalnego było połączenie zasobów tych trzech obszarów i rozwi-

nięcie ich ku wspólnej korzyści wszystkich zainteresowanych.

W czasie wyborów do Federalnego parlamentu w 1954 r. partia Welensky'ego (United Rhodesian Party) uzyskała przynajmniej większość. Welensky wszedł do rządu jako wicepremier i minister transportu. W następnym roku objął premierostwo Federacji. Trzeba było 20-letniego wysiłku i walki, by z maszynistą poprzez działacza związkowego, posła i ministra osiągnąć szczyt hierarchii państwowej. Od początku swego urzędowania jako premier rozpoczął starania o rozszerzenie autonomii Federacji i zredukowanie kontroli parlamentu brytyjskiego. Użył obietnicę Londynu, że prawem zwyczajnym, rząd JKM będzie inicjował, zatwierdzał lub odwoływał ustawy Federacji wyłącznie tylko na jej prośbę. Otrzymał wolną rękę w sprawach zagranicznych. Wielki krok naprzód w kierunku zupełnej niepodległości został uczyniony.

Parlament Federacji składał się wtedy z 59 członków, w tym 15 przedstawicieli czarnej ludności. Czynne i bierne prawa wyborcze określał nie kolor skóry, lecz pewien status materialny lub określony dochód roczny (około £250). Reprezentacja miejscowej ludności zyskała na znaczeniu, gdy Welensky mianował tubylecą ministrem do spraw rasowych. Czarni mieszkańcy otrzymali dostęp do służby państwowej, urzędów i wolnych zawodów. Opieka społeczna rozciągnęła się na wszystkich obywateli, chociaż gros jej kosztów pokrywali biali. Oświata stała się dostępną dla wszystkich. Zarobki powiększyły się, a dobrobyt całej ludności wzrósł niepomniernie. Zasadą polityki narodowościowej stało się hasło współzycia i współpracy wszystkich miesz-

kańców. Cała ludność Federacji ma w zasadzie równe prawa. Białe człowiek jest chwilowo stroną decydującą w rządzeniu. Czarny partner miał możliwości stopniowego rozwoju, kształcenia się, nabierania godności i kultury pod opieką białego partnera, by w końcu stać się numerem jeden. W ten sposób poczucie wspólnoty miało zakreślać coraz szersze kręgi.

W tym marszu naprzód Welensky napotkał na przeszkodę nie do przebycia. Nowopowstały Narodowy Kongres Afrykański żądał reformy konstytucji i większości dla czarnych przedstawicieli w parlamencie federacji. Nastąpiły rozruchy, napady i połała się krew. Samozwańcy przywódca murzynów w Nyasaland dr Hastings Banda zażądał secesji z Federacji. Za jego przykładem ruch wyzwolenczy wzmógł się również w pozostałych dwóch terytoriach. System współzycia realizowany przez Welensky'ego nie odpowiadał im zupełnie. Celem nacjonalistycznych przywódców było pozbycie się kontroli białych i uchwycenie władzy w swe ręce.

Welensky stanowczo sprzeciwiał się temu. Doceniał ruch nacjonalistyczny, lecz uważał tubylców za niedojrzałych jeszcze do rządzenia. Jego sprzeciw nie pochodził z pobudek rasowych lecz z trzeźwego osądzenia zdolności ludzkich. Znał doskonale tubylców. Obserwował ich od najmłodszych lat. Złży wśród nich i pracował z nimi. Widział szczep Tonga, który tkwił ciągle jeszcze w ciemnej przeszłości. Członkowie jego nosili kółka w nosie i pióra zamiast okrycia. Stykał się z ludźmi szczepu Lozi i Bema, którzy choć bardziej umysłowo rozwinięci, nie byli zdolni jeszcze do samodzielnego działania i odpowiedzialności.

Pod rosnącym naciskiem rząd brytyjski postanowił porzucić pomysł rozwiązania sprawy federacji po myśli Welensky'ego. Federacja się rozpadła. Nyasaland i Płn. Rodezja stały się niepodległą republiką Zambia. Sytuacja Rodezji Południowej nie jest jasna ani pewna na dłuższą metę. Posiada ona szeroką autonomię, lecz podlega kontroli Wielkiej Brytanii. Jej przywódcy chcą ogłosić niepodległość w ramach obecnej konstytucji zachowując przewagę białego człowieka. Niedawna wizyta dwóch przedstawicieli rządu Partii Pracy z Londynu wskazuje, że takie rozwiązanie nie odpowiada socjalistom brytyjskim. Ostateczny los Południowej Rodezji wyjaśni się w najbliższej przyszłości.

Welensky pozostaje na razie w cieniu. Biali uważają, że poszedł on za daleko w swoich ustępstwach w planie współzycia z czarnymi. Tubylecy widzą w nim tylko przedstawiciela rasy białej i nie chcą z nim współpracować, ani iść na żadne kompromisy.

Na zakończenie warto jeszcze zastanowić się nad pytaniem, co właściwie ma decydujący wpływ na ukształtowanie człowieka: urodzenie czy otoczenie, dziedziczność czy warunki w których się wychował. Zagadnienie to pasjonuje ludzi od wieków. Dla poparcia jednego lub drugiego poglądu przytoczyć można wiele przykładów wśród różnych tego świata choćby naszej epoki. Ale czy rzeczywiście tylko te dwa elementy wpływają na rozwój człowieka? Nie da się właściwie ustalić reguł o wyższości urodzenia lub otoczenia. Określić to można jedynie w każdym indywidualnym wypadku. Najczęściej wartości człowieka jest syntezą obu pierwiastków: dziedziczności i warunków środowiska plus jego wpływ, jaki zdołał wywrzeć na bliższe i dalsze otoczenie.

W życiu Sir Roya Welensky'ego środowisko i warunki w których żył i pracował wywarły niewątpliwie największy wpływ na jego osobowość, charakter i działalność.

PRZEGLĄD PRASY

NIEDŹWIEDZI UŚCISK

JESZCZE nie przebrzmiały echa wypowiedzi Moczar, zapowiadającego wielką akcję reżimu wśród emigracji, a zwłaszcza w kołach kombatanckich, gdy ramiona wyciągnął do emigracji inny dygnitarz komunistyczny, innej coś niecoś frakcji, ale również czerwony — sam generał Zygmunt Berling. Wrocławski Tygodnik Katolików z dnia 14 marca przeprowadził z nim wywiad jako z przewodniczącym Komisji Polonijnej przy kombatanckiej organizacji ZBoWiD. W wywiadzie tym gen. Berling zakreślił cele świeżo powstałej komisji:

Chodzi nam o nawiązanie trwałych kontaktów ze środowiskami polonijnymi na całym świecie. Przede wszystkim chcemy nawiązać łączność z polskimi organizacjami kombatanckimi zagranicą.

Minęły czasy, gdy emigracja, czy to jak się w Kraju określa: Polonia, bo pierwszy termin jest dla reżimu zbyt kłopotliwy — składała się z samych reakcjonistów i wrogów Polski Ludowej. Okazuje się teraz, że składa się w przytłaczającej mierze z samych patriotów. Co więcej:

Nie ma różnicy między interesami kraju, a interesami emigracji, gdy chodzi o ważne zagadnienia całego narodu, będziemy więc starali się, by Polonia stała się aktywnym rzecznikiem wspólnych interesów narodowych, współtwórcą polskiej siły gospodarczej i kulturalnej, tego wszystkiego, czego brakowało nam w ciągu wieków, bez czego był narodu nie ma gwarancji trwałości, a co dopiero tworzy się przy zaangażowaniu wielkich zasobów energii narodu polskiego. Chcemy więc wprowadzić Polskę do ogólnonarodowego frontu budowy siły naszej Ojczyzny i czujności wobec tego wszystkiego co zagraża Polsce swoją wrogością.

Czytając te słowa odnosi się wrażenie, że mógłby je wypowiedzieć każdy działacz emigracyjny. Nie tylko mógłby, bo podobne słowa wypowiada się od lat. O wspólności interesów narodowych, o wzmacnianiu sił Polski, o czujności wobec groźących jej niebezpieczeństw. To przecież żywcom

wzięte z naszego emigracyjnego słownictwa, bez słowa o socjalizmie, o partii, o budowaniu komunizmu. Nic. Jest tylko Ojczyzna. I zwroty, które brzmią jak echo posiedzeń Rady Jedności Narodowej:

...w żadnym wypadku nie chcemy wnosić do środowisk polonijnych jakichkolwiek elementów waśni, wręcz odwrotnie, pragniemy uczestniczyć w ich jednoczeniu wokół wspólnych, ogólnonarodowych celów.

Jeszcze jeden ośrodek „zjednoczeniowy”, jeszcze jedna próba osiągnięcia „pełnego zjednoczenia”. Tym razem pod egidą reżimu. Ale nawet „patriotyczny” generał nie umie sobie widocznie wyobrazić, by dało się to zjednoczenie osiągnąć bez pewnych przekupstw i łapówek. Czym skorupka nasłania... Nainny generał wyciąga więc pod adresem nainnych osiołków marchewkę, pięknie przyrządzoną, oskrobaną ze śladów piasku, wypłukaną nawet z czerwonego koloru:

Przewidujemy organizowanie wspólnych akcji politycznych mających na celu np. demaskowanie rewizjonistycznych zapędów antypokojowych czynników w NRF, organizowanie obchodów rocznic wielkich wydarzeń historycznych, bitw toczonych przez polskiego żołnierza w obronie polskich i ogólnoludzkich ideałów, wymianę delegacji, wymianę informacji i dokumentacji historycznej, weryfikację stopni wojskowych z okresu ostatniej wojny, opiekę nad miejscami w których przelewała się krew polska w czasie wojen, upamiętnienie tych miejsc przez ich oznaczenie pomnikami lub innymi wyrazami pamięci. Będziemy się starali zorganizować wymianę czasopism i publikacji zawierających rzetelną informację, wyjazdy wycieczek, pobyty rodzin emigracyjnych w kraju, letnie pobyty dzieci z zagranicy w Polsce itd.

To nie jedne marchewki, ale cała wiązka marchewek. Dla wszystkich, o różnych gustach, chytze od lat podpatrywanych. Obchody, akademie, cmentarze — dla tych, którzy żyją przeszłością; stopnie wojskowe — dla rozczarowanych; ulgowe wyjazdy i wycieczki dla tych licznych, którzy z przyzwyczajenia korzystają ze wszystkich wyprzedaży, ulg, obniżek, rabatów i „okazji”, jakie kiedykolwiek, gdziekolwiek się nadarzają. A dla takich, jak np. administracja „Myśli Polskiej” — wymiana czasopism. Chwytny wymowny generał za słowo. Powiedział o wymianie. Do tej pory tylko dostajemy, całą stertę pism reżimowych. Czyżby kioski reżimowe zgodziły się teraz kolportować „Myśl Polska”? Można by tego po owej wypowiedzi oczekiwać. Można by — gdybyśmy byli nainni.

Nie wiadomo, na ilu nainnych liczą propagatorzy obecnego kursu, mającego na celu pozabawienie emigracji zupełnie jej charakteru politycznego. Próbowali od lat ukrytymi kanałami, teraz próbują jawnie, z rozwinętymi standardami „patriotyzmu”. I nie ma się co łudzić: to nie jeden „gorszy” odłam komunizmu usiłuje się wgryźć w twierdzę emigracyjną. Czy to będzie Moczar,

czy Berling, czy Gomulka czy jeszcze inny dygnitarz, partyzant czy liberal-rewizjonista, każdy podlega tej samej dyspozycji, służy temu samemu celowi: utrzymaniu za wszelką cenę komunizmu w Polsce i totalitarnej władzy w ręku partii. Z przekreśleniem praw narodu do samodzielnego bytu i praw obywateli do wolności.

DYREKTORSKA LUDOWOŚĆ

„Kultura” warszawska zamieściła w numerze z 14 marca rozważania pt. „Kto jest Polską Ludową?”, które warto zanotować, bo dają mimo woli obraz panujących stosunków, a zwłaszcza przepaści, jaka dzieli warstwy rządzące od mas społeczeństwa. Oto sprawozdawca podpisany (j) informuje:

TV przeprowadziła ostatnio rozmowy z dyrektorami warszawskiego piekarnictwa i warszawskiej gastronomii. Przedstawiono im fakty znane co najmniej milionowi ludzi: że pieczywo jest złe, a częstokroć niejadalne i że obsługa oraz jakość potraw w restauracjach znajdują się na poziomie fatalnym. W odpowiedzi usłyszeliśmy szereg ewidentnych fałszów („pieczywo nie jest złe”) i szereg ewidentnych bredni („Klienci nie wychowują obsługi”)... TV chciała być w obu audycjach po stronie, aby tak rzec, Polski Ludowej. Najsluszniej zresztą. Tyle tylko, że ta Polska Ludowa na pół świadomie utożsamia się twórcem audycji właśnie z dyrektorami. Stąd zahamowanie. Nie wypada protestować, choć dyrektor bredzi. I nie wypada protestować, choć dyrektor zaprzecza oczywistym i notorycznym faktom.

A tymczasem jest inaczej. Polska Ludowa to przede wszystkim my, którzy jemy pieczywo i odwiedzamy tzw. punkty zbiorowego żywienia. Dlatego po naszej stronie powinna tu być TV. Nie godzić się z różniami. Uczestować ich (przed kamerą!) chlebem z warszawskiej piekarni i sałatką z warszawskiej restauracji II kategorii. Bez tego takie audycje nie mają sensu...

Jedno by można w tym zażaleniu poprawić: Polska Ludowa — to właśnie dyrektorzy, różnego rodzaju, po różnych instytucjach. A te miliony, które muszą zjadać zakałcowaty chleb pod okiem owych dyrektorów wypieczony — to po prostu Polska, bez przymiotnika. I dopóki jest ten podział, racje urzędowe będą mieli zawsze nie zwykli zjadacze chleba, ale dyrektorzy Polski Ludowej.

ZA KILKA ZŁOTYCH — TYSIĄCE

W tym samym numerze „Kultury” z 14 marca Peregrinus w artykule „Zanim kupisz” zamieszcza sprawozdanie z szeregu różnorodnych przeprowadzonych z pracownikami firm sprzedających telewizory. Oto próbki uwag zasłyszanych w salach ZURT-u na temat aparatów zwracanych firmie z powodu usterek i wadliwego wykonania:

— Tak naprawdę, to wszystkie gatunki do nas po trochu stale wracają. Teraz najmłodniejsze „Korale” i „Agaty”. Bywało już „Agatów” do 50 procent zwrotów, ale ostatnio chyba się jakoś po-

prawiły, bo dyskwalifikujemy — już w detalu — 5 do 10 procent. W styczniu i lutym musieliśmy ponad 60 aparatów wymienić, niektóre po 2 dniach od sprzedaży.

— Wymieniamy nie z powodu złej jakości odbioru ale z reguły „na brak części”. Najprostszymi częściami zamiennymi nie ma. Już magnetofon „Tonette” wymienialiśmy z braku paska napędu za 3 złote. A telewizory „Korale” i „Agaty” najczęściej z powodu złego transformatora linii. Bywało już, że 6-7 aparatów dziennie musieliśmy zamienić; ostatnio przeciętnie 2-3 dziennie. Czasem klient żąda zwrotu pieniędzy — i trzeba oddawać. Dlaczego brak części? Nie wiem.

— Niedługo aparat wartości kilku tysięcy będzie się zamieniał z powodu braku bezpiecznika... Sytuacja naprawdę paradoksalna: za kilka złotych — tysiące!...

— Każdy aparat musi być przed wypuszczeniem z fabryki grzany przez 48 godzin, taka jest norma, ale oni go tam chyba 48 sekund grzeją i zaraz stemplują, że dobry. Mieliśmy już w sklepie „Neptun” z datą produkcji z dnia poprzedniego! Przez jedną dobę zdążyły przyjechać z Gdańska, przejechać przez hurt i nasz sklep do klienta — a za dwie doby znowu do nas wróciły...

— Tak, to prawda, że mamy w ciągu trzech miesięcy po trzy i pięć razy ten sam telewizor w naprawie, niedawno był nawet rekordzista: od grudnia osiem razy do nas trafił!...

— Wykonujemy do 30.000 napraw rocznie. Ale nie o ilość chodzi, tylko o bezskuteczność. W tym sensie, że nasze reklamowanie stale tych samych, więc typowych usterek — nie nie pomaga! Gdy pojawiły się jakieś braki w niemieckich „Stadionach”, a przedtem w „Rekordach” czy „Cranachach”, już w 6 tygodni po wejściu tych telewizorów na rynek byli u nas przedstawiciele producenta z NRD, wszystko sprawdził i zaraz następna partia tych aparatów przyszła poprawiona. A u nas? Stale piszemy o tym samym i wszystko na nie; te same części — te same braki... Więcej panu nie powiem, bo mam zakaz.

Ta porównanie z NRD jest tu chyba najbardziej upokarzające. Siłą kontrastu uwypukla jeszcze niesłychane niechlujstwo i niedbalstwo zakładów państwowych oraz lekkomyślne marnotrawienie grosza publicznego. Bo przecież podobna sytuacja panuje także na innych odcinkach. „Polityka” z 13 marca zamieszcza list czytelnika, który od stycznia do maja po całej Polsce próbował dokupić galki do adaptera — bezskutecznie. I ta sama „Polityka” pisze o podobnej sytuacji na rynku części zamiennych do samochodów. Jeżeli jest jeden powód do pociechy przy tym chronicznym braku części zamiennych do czegośkolwiek, to chyba nadzieja, że podobna sytuacja panuje w partii — ten sam brak „części zamiennych”, ludzkiej oczywiście. Może właśnie te objawy na innych odcinkach są odbiciem braków na tym jednym, najistotniejszym.

has

*) The Welensky Story by Garry Allingham, Macdonald, 1963, 310 str, 30/-.

Ś. † P.

ALEKSANDER DZIŻYŃSKI

doktor weterynarii, wykładowca na wydziale weterynaryjnym Szkoły Głównej Gospodarstwa Wiejskiego w Warszawie, działacz organizacji narodowych przed wojną i pod okupacją niemiecką, zmarł w Warszawie w wieku lat 62.

Pogrzeb odbył się w Warszawie, dnia 12 kwietnia 1965 r. Msza św. żałobna za spokój jego duszy odprawiona została 12 kwietnia w kościele św. Andrzeja Boboli w Londynie.

Brat i bratanica z mężem w Anglii oraz rodzina w Kraju